

Przeglądnik dla Kobiet

PISMO

BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok II.

— Poznań, 29 października 1881. —

Nr. 3.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Piekary 16. Opłata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mrk., roczna 12 mrk. z dostawieniem egz. do mieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całym państwie pruskiem i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcyja; kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicyi wynosi rocznie 8 zlr., półrocznie 4 zlr., ćwierćrocznie 2 zlr., za co się przesyła franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach:

S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiej we Lwowie.

Inseraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwulamowego.

KIEDY SIĘ MA ROZPOCZĄĆ WYCHOWANIE.

W pierwszych czasach po urodzeniu dziecka starania fizyczne zajmują całą uwagę matki i niezawsze dość rychło spostrzeże, że i wychowanie od kolebki rozpoczynać należy. W całym późniejszym życiu człowiek tyle nie odbiera wrażeń, co w latach niemowlęctwa i dziecięctwa zdaje się nie rozpoznawać jeszcze, a już układa ruchy swoje wedle otaczających je osób, sili się naśladować posłyszane wyrazy, spamięta najprzód te, które się najczęściej o jego uszy odbijają i widzieliśmy dziecko, które jeszcze mówić nie umiało, a już bezwiednie układało różowe usteczka do wymawiania przewisk. Trzeba pilną uwagę zwracać na piastunki, aby nigdy wobec dzieci się nie kłóciły, nie używały zelywch wyrazów, aby, ile możności, poprawnie mówiły, a dla rodziców będzie to także dobrą szkołą, kiedy z miłości dla dziecka będą wobec niego pilnowali słów i uczynków swoich.

Dziecko wielką część wad swoich winno otoczeniu: wszyscy, jak na wyścigi, uczą je gniewu, zazdrości, próżności, od niańki, co koi płacz jego, bijąc stół, o który się uderzyło, co namawia do jedzenia rosółu groźbą, że inaczej da go pieskowi, od służącej, która ułatwia sobie przymierzanie mu nowej sukienki pochwałą, że mu w niej ładnie, ładniej niż temu a temu dziecku, aż do licznych wujaszek, co je psują na przekór mamie. To są drobnostki zapewne, a jednak, wiedząc, jak najmniejsze wrażenie z lat dziecinnych nie zostaje bez wpływu na późniejsze lata, czy nie moglibyśmy w nich odnaleźć źródła niejednej wady? i tak n. p. dziś zrzuca dziecko na róg stołu winę własnej niezgrabności, później na zły wykład w szkołach ulubione lenistwo, a jeszcze później winę lekkomyślności i zaniedbywania się na okoliczności zewnętrzne, wreszcie na przeznaczenie. Dziecko pamięta wszystko, co na niem żywe uczyniło wrażenie i słyszeliśmy, jak sześćdziesięcioletni mężczyzna opisywał francuzko-polskich ułanów, których półtorarocznemu wówczas dziecku pokazywała piastunka z okien rodzicielskiego domu, a bywało, że dorośli opierali swoje zdania o ludziach i rzeczach na półsłówku, zasłyszanem w dzieciństwie. Dziecko uważa na to, co wokoło niego mówią daleko rychlej, niż myślimy. Dwie osoby, brat i siostra, spotkawszy się po długim niewidzeniu, rozmawiały poufale, nie zważając na trzyletniego chłopczyka, który zdawał się bardzo zajętem ustawianiem zabawek: w toku rozmowy jedna z nich zatrzymała się na chwilę w opowiadaniu jakiegoś skandalicznego nieco zdarze-

nia, gdy słyszy skwapliwe zapytanie: — a potem co? — i widzi z przerażeniem wlepione w siebie zaciekawione oczy chłopczyzny.

Ważną jest rzeczą wybór piastunki: niech nie będzie krzykliwa, sporna, zamroczona, ale wesoła, łagodna, a roztropna. Gderliwość piastunki zasępią dziecko, robi je niezadowolonym i kwaśnem. Smutne dziecko nie ma ochoty do niczego. Wesołość dziecka to jego energia, ale wesołość ta ma być prawdziwa, nieokupiona kosztami cudzej przykrości, dla tego strzedz trzeba, aby nigdy nie robiło figielków, które komuś innemu są niemiłymi, bądź człowiekowi, bądź zwierzęciu. Zabawy dzieci, zwłaszcza z rówieśnikami, nie są rzeczą obojętną, bo w nich najlepiej objawia się ich charakter. Rodzice i wychowujący poznają je gruntowniej podczas rekreacji, niż w długich godzinach nauki. Tu oni wlewają w nie swoje własne uczucia, tam one się same ukazują, jakimi są. Nie zna dziecka, kto go nie uważał przy zabawie. To też trzeba pewną swobodę zostawiać dzieciom podczas rekreacji, czuwać nad nimi, bo kiedyż nad temi małymi istotkami czuwać nie należy, ale nie krępować ich drobiazgowym dozorem i zakazami. Co postrzeżemy przy zabawie, niech nam będzie wskazówką, jak sobie z dzieckiem postępować, nad którą z jego skłonności najbardziej pracować, co w niem prostować potrzeba. Dziecko lubi, aby się niem zajmowano na seryo; zrażone, łatwo zamyka się w sobie; niechże więc smutki jego i radości nie bywają wyśmiane, zwierzenia niewyjawiane; szanujmy jego punkt honoru, nie opowiadając publicznie jego małych uchybień, nie wyśmiewając się z nakładanych nań kar, bo to zwykle nie wywołuje zbawiennego wstydu, ale przeciwnie, u krnąbrnych gniew i zaciętość, u czułych zaś dzieci prawdziwą rozpacz, odejmując im nadto odwagę do poprawy. Z im bardziej lekkomyślnem dzieckiem mamy do czynienia, z dzieckiem, które sobie nic z niczego nie robi i żadnego zdaje się nie mieć wstydu, tem większą pokazujemy mu troskę o jego dobrą sławę, ażeby się samo nauczyło wyżej ją cenić. Rzadkie bywają przypadki, gdzie dla upokorzenia zbyt zarozumiałego dziecka mogłoby być skutecznie położyć je przy osobie, którą kocha, albo o której pochwałę mu chodzi, ale i w nadzwyczajnym takim razie niechże przynajmniej ta osoba rzeczy w żart nie obraca, lub co gorzej, po za plecami dziecka nie śmieje się z jego zawstydy.

Dzieci mają osobliwszy talent usłyszenia wszystkiego, czego słyszeć nie mają. Czytaliśmy smutny tego przypadek: Jeden z pisarzy francuzkich, zdaje mi się, *Mérimée* — opowiada o sobie, że mając lat pięć, został połączony od rodziców za jakieś dziecinne uchybienie. Zmartwiony, że ich tak srogo obraził, przejęty skruchą, zanosił się od płaczu. Wtem, gdy wychodzi z pokoju, słyszy, jak matka mówi z uśmiechem do ojca: „biedne dziecko, myśli, że straszne popełniło przestępstwo.“ W tej samej chwili wielka w chłopcu zaśla odmiana; otarł łzy, stracił ufność w słowa rodziców i nigdy już, przez całe życie, na żadną wiarę zdobyć się nie mógł. Wiara, prawda, uczucie, wszystko mu się zdało komedią.

M. Sz a.

MARYA STUART

W HISTORII I W LITERATURZE

NAPISAŁ

ZORYAN.

(Ciąg dalszy).

Królowa sama na tronie, to obraz prawdziwie smutny. Niezgoda w łonie rodziny i narodu jak hydra staje z nią do walki, zmuszając do obrony, a kiedy w tem starciu królowa raz tylko nierozważnie zdeptała swe obowiązki, już droga do odwrotu zamknięta, już Nemezis, jeśli w nią wierzyć się godzi, żąda zemsty i dla dopełnienia puharu przewinień do nowych ją popycha zbrodni. Samą była Marya, a samotność wiele złego sprowadza; w niej niejedna czarna myśl się rodzi i męczy tak długo, dopóki jej człowiek nie ulegnie. Cóż naturalniejszego, jak, że człowiek, czując gniołącą go samotność, pragnie zerwać więzy, które go w niej utrzymują. Lecz więzy, które nas opasują tak są z sobą połączone, że najczęściej, gdy rękę przyłożymy, rwą się z kolei wbrew naszej woli. Między więzami jest i obowiązek, który, jak długo stożunki panują normalne, nie jest uciążliwy, gdy jedną tylko nić więzów naprężymy, obowiązek zacięży najbardziej. Lecz właśnie w tem cnota, by go wytrzymać, nie stargać. Zdeptany obowiązek — to spalony most odwrotu na drodze zboczeń moralnych, występków i zbrodni. Marya go zdeptała:

(Zdejmuje koronę).

Więc teraz z wszystkich więzów jestem uwolniona,
Ciężłaś mi na czoło, a twój połysk zgubny
Wielu, wielu przerażał i odstraszał wielu.
Teraz wolna . . . nie — jeszcze cięży pierścień ślubny.

(Zdejmuje pierścień).

O! teraz przybądź do mnie! przybądź tu, Botwelu!
Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia,
Przybądź! już się nie lękam Boga, ni potwarzy. . .

Zrzuciwszy koronę i pierścień ślubny, zapomina nawet o Bogu, a takich słów, jak ona wyrzekła: „już się nie lękam Boga,“ nie mówi się bezkarnie. Umie też poeta malować tę Nemezis i mści się w każdej drobnostce za drobnostkę. I tak, wkładając w usta Maryi słowa:

Przybądź! nie mam korony. . .

daje jej kochanka, dla którego nie ona była kochanką, lecz korona, każe z całym egoizmem Botwelowi popychać ją do zbrodni, a to wszystko nie dla miłości, lecz dla korony.

Oto główne wady Maryi — zalet nie rozwinął poeta żadnych. Błąd to kompozycji, bo że Marya była piękna i dobrą dla tych, co ją otaczali, to jeszcze nie koniec zalet kobiety; pominięcie innych, któreby wybornie oddały stronę świetlaną charakteru, za złe musimy wziąć Słowackiemu.

Okolo postaci Maryi wije się cała fabuła dramatu, jest ona z jej charakterem najściślej związana, w niej znajdujemy wszystkie wyjaśnienia tegoż. Nie przytaczamy jej wcale, bo nie ma chyba czytelnika, któryby Maryi Stuart

Słowackiego nie znał, wreszcie, powiedziano o tem już tyle, że trudnoby tu jeszcze co dodać. Ograniczając się więc na uwagach poprzednich, powiemy jeszcze słów kilka o dwóch ważniejszych charakterach.

Botwel złamał się pod piórem poety. Pierwsza część dramatu okazuje nam go w fantastycznym świetle. Zamyślony, okryty złutną szatą bolejącej duszy — a jak chcą niektórzy, bajronizmu — goni w łodzi po ciemnych nurtach wody za kwiatem, co z wiatrem rozwianych warkoczy królowej spadł na drżące fale. Na czołe jego wyrzta myśl samobójcy. Wchodzi do Astrologa i filozofuje coś na kształt Fausta.

Widzisz mnie, Astrologu, na wybladłej twarzy
Gorzkim uśmiech i wzgarda — nie patrz, co jest we mnie,
Któż się we wnętrzu grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jest to sytość życia.

To pierwsza część charakteru, który na słowa Astrologa: „będziesz królem“, zupełnie się zmienia. Ten sam Botwel staje się zupełnie innym i na wstępie do nowego życia mówi:

Rozbiję czarę,
Ale po co rozbijać? może mi się przyda? . . .
W taką drogę iść trzeba z obfitym zapasem. . .

To słowa trafne i zupełnie przystające do charakteru Botwela — to wstęp zupełnie odpowiedni do całej przyszłej działalności jego. Ale to wszystko, co Botwel przedtem mówi, dziwnie jakieś nienaturalne. Poeta niczem nie usprawiedliwia chęci samobójstwa, a miłość do Maryi — taka romantyczna i platoniczna w zarodzie, ginie gdzieś bez śladu, bo Botwel cały oddanny myśli królobójstwa i słowem nie zdradza uczucia. Bo i gdzieżby w nim szukać uczucia, gdzieżby szukać tego Botwela, jakiego widzieliśmy w opisie pазia i monologu Maryi? kiedy on sam o sobie powiada:

Serce się moje kobiet łzami nie rozczuła . . .
Chce, żebym myśl jej odgadł? nie, ja nie rozumiem!
Aż mi powie: Botwelu! zabij! zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać — nie umiem.

Takim zbrodniarzem jest do końca, a okropnym staje się, gdy zabiwszy pазia, woła z dzikim śmiechem:

Cha! cha! co to znaczy?
Wiedział o naszej zbrodni . . . umarł.

Tu odsłania się prawdziwy charakter Botwela — takim, śnać, chciał go mieć poeta, takim dla sztuki być powinien; z początkiem tylko sztuki wiążą się odmienne określenia jego charakteru, które go łamią i czynią całą tę postać niezrozumiałą, dwoistą — o czem zresztą już poprzednio mówiliśmy.

Słówek jeszcze o Henryku.

Główną cechą jego jest bezbarwność, młodość jakaś w charakterze i chwiejność. Słowa i czyny jego tak się miesza, że nie wiedzieć właściwie, jakim jest. I tak n. p. mówi w scenie 5-tej aktu I., że goów na wszystko, że sztylet struny przetnie, a zaraz potem w te słowa odzywa się do Mortona:

Długo żyjąc oddaleni,
Nie czujemy tak zgodnie, jak dawniejszy czuli,
To prawie moja wina — jakaś zazdrość płocha
Rozdzieliła nas — zdradę podstępni uknuli,
Lecz królowa kochała i teraz mnie kocha.

Za chwilę znowu wpada w gwałtowność i woła z prośbą, aby go kto uwolnił od Rizzia, obawiając się, że ten wkrótce sięgnie po koronę. Tę samą gmatwaninę spotrzegamy w słowach następnych, w których unosi się dumą i nędznym nazywa Mortona, gdy ten mu radzi przed sądem stanąć z skargą na podłego służalcę. A ten sam Henryk, gdy to mówi, ma już gotowy plan inny: podstępem zamordowanie Rizzia — czy to szlachetniejsze?

Chwiejność Henryka ciągnie się przez pierwszą połowę sztuki i przechodzi w zupełne magzajstwo — w drugiej części jest on już innym. Tam widzimy go znowu osamotnionym, cierpiącym, biednym. Wyrzuty sumienia trapią go bez ustanku, to człowiek, który nie może być złym. Złym też nie był, ale był słabym — a to często największą wadą człowieka. Za jeden współdział w zbrodni nieskoń-

czone czuje wyrzuty, żal mocny budzi się w nim. Ten Henryk bolejący, opuszczony, samotnie pozostały z blaznem swym tylko, ten Henryk, którego podstęp i zbrodnia, przyjąwszy najstraszniejszą obłudę w usługę, otaczają, jest w oczach widza, czy czytelnika już znacznie zrehabilitowany.

Przyznać bo trzeba, że Słowacki, promieniami poezji sypiąc, umiał zdobywać sympatyę dla swoich postaci, choćby tak w ogóle bezbarwnych jak Henryk, lub czarnymi zbrodniami malowanych, jak Marya. Nawet ona, porwana po dokonanej zbrodni przez Botwela, przypomina nam owę baśń wiejską o dziewczynie, co lekkomyślnie zaprzędawszy duszę szatanowi, w jego mocy będąc, idzie na straszną tułaczkę i choć zawiniła, żal i litość budzi. Budzi współczucie i sympatyę. Dla czego?

Bo była piękną... i nieszczęśliwą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Nie wiem, czy kiedy przykre słowa milsze na kim uczyniły wrażenie, jak na mnie owo łajanie i wyrzuty, które mnie skutkiem kilku wyrażań, z boleścią wypowiedzianych w „Kłosach” — spotkały od dziennikarstwa w Poznańskim. Dowiodły one przynajmniej oburzenia i trochę uczucia, trochę wstydu, *) — ale, niestety, nic więcej. To, com powiedział, aż nadto codziennymi się potwierdza faktami, aby odwołaniem być mogło.

Przyczyn upadku można szukać w instytucjach, w okolicznościach zewnętrznych, w systematycznym prześladowaniu narodowości naszej, w najrozmaitszych wpływach od nas niezależnych, wszystko to prawda, ale niemniej upadek zaprzeczonym być nie może.

Z każdym dniem majątek jakiś wychodzi z rąk polskich, instytucja jakaś nasza chwiać się zaczyna lub obala, ruina finansowa wywołuje gorszą moralną, która albo się miłosiernie pokrywa milczeniem, lub cynicznie wystawia na widok publiczny, pewna bezkarności.. Nie wątpimy, że są ludzie, co to do serca biorą, boleją, zaradzićby chcieli — lecz ogólna bezsilność i ich paraliżuje..

Plakać się chce, patrząc na to — nie maszże już ratunku??

Przypadkiem wpadły nam w rękę wczoraj owe Rachunki Bolesławity, które swojego czasu tyle mu nieprzyjaciół przymnożyły.. Mimowolnie ostatni ich tom zaczęliśmy przeglądać.. Mój Boże! co za niesłychana różnica tamtych lat od dzisiejszych!

Chciałoby się niemal rachunek zaległy.. Debet i Habet naszych prowincji jakże dziś stoi różnie od bilansów ostatnich.. Ilu ludzi dawnych tradycji, czystych i uczciwych, zabrakło nam, a ilu w ich miejsce przybyło tak niepolskich fizyognomii i obyczajów, że umarliby się ich wyparli. Co gorzej! ilu starych, szanowanych, zasłużonych, takich, których imiona nawykliśmy byli ze czcią powtarzać — zeszło na zszarganą ruinę.. Ile pojęć obowiązku, patriotyzmu, uczciwości — się zmieniło!!

*) Z prawdziwą boleścią drukujemy te tak bardzo, a ponownie ubliżające nam słowa Szan. Jubilata, który — pewni jesteśmy — gdyby zechciał czas jakiś pożyć między nami, zapatrywałby się choć trochę inaczej na nasze stosunki i oceniałby inaczej położenie, znane mu dzisiaj tylko z daleka. Wspomina wprawdzie niżej gnębiące nas okoliczności — a jednak nie chce wiedzieć, że jeśli one nie usprawiedliwiają winy, to przynajmniej jedną współczucie i sąd mogą uczynić łagodniejszym. My widzimy wady nasze, upadkowi materialnemu, często dobrowolnemu niestety, zaprzeczając nie myślimy, a jednak moralnie nie stoimy niżej od reszty braci naszych, dźwigamy się pracą, bo pracujemy więcej, mozolniej zwłaszcza, niż gdziekolwiek. Niektóre fakta mówią przeciwko nam, są i smutne wyjątki — bo gdzież ich nie ma — ale to nie ogólna martwota, nie ogólne zatrącenie wstydu, któreby tak bez namysłu kamieniem potępienia rzucić na nas kazalo. — Przyp. red.

Imion przywozić niepodobna.. niech się każdy w piersi uderzy i zajrzy we własne sumienie..

Dziś, pewne względy towarzyskie mogą nakazać milczenie, ale przyszłość, przyszłość będzie niełitościwą, nie-miłosierdną i jej Rachunek, jej sąd zedrze maski z tych, co je dziś noszą..

Ktokolwiek bezstronnie zastanowi się nad przebieżoną u nas drogą w ciągu lat ostatnich kilkunastu, dostrzeże łatwo, że niesłychane, nigdy nieprzewidywane zaszły zmiany w opinii publicznej, w pojęciach obowiązków, w określeniu powinności obywatelskich, w sądach o naszej przeszłości, w całym prądzie myśli i za niemi idących czynów.

Ta zmiana przekonań, nawet takich, które od wieków do zasadniczych, do podstawowych się liczyły, jest fenomenem zbyt wielkiej wagi, ażebyśmy lekceważyć go mogli.. Oddziałal na nas wprawdzie ogólny prąd wieku, duch wieku, — lecz i w łonie naszego własnego społeczeństwa, z własnych naszych pierwiastków wyrobiło się wiele nowego. Nie jesteśmy tem, czemyśmy byli.. Postęp w jednym kierunku, cofanie się w drugim, wykołojenie bezmyślne w innym; normalnego pochodzą, opartego na dalszym rozwoju tego, co naszym było — nigdzie..

Konserwatyzm w drobnostkach i rzeczach formy, obok radykalizmu najdziwniejszego w sprawach istotnej wagi; — rzucanie się na drogi niebezpieczne; plamienie przeszłości, najdziksze nadzieje w teraźniejszości, przywiązujące się do faktów, niemających znaczenia — oto obraz życia naszego..

Cudnie piękne stroje polskie, obok kosmopolitycznego obyczaju i języka; orthodoksja, do fanatyzmu posunięta, obok najsmutniej rozprzężonych stosunków rodzinnych; patriotyzm w słowach bez czynu, manifestacje ducha bez owoców.. to wszystko są — signa temporis.

Jeżeli się, patrząc na to z sercem zakrawionem, wypowiada jawnie, co się czuje, nie czyni się tego, aby dogodzić chwilowemu oburzeniu, ale z uczucia obowiązku, chciałoby się pokryć i osłonić rany własne, lecz mogą się one zgoić, jeśli je sami przed sobą ukrywać będziemy?.

Pięknem to jest i rozumem, że z bratniem współczuciem przychodzimy w pomoc Czechom, Łużyczanom, rozmaitym jedноплемиennym, a równie z nami cierpiącym, ale i u siebie w domu wiele jest do czynienia, a robi się mało, albo nic.

Ziemia z rąk naszych przechodzi do Niemców, patrzymy na to z jakąś rezygnacją obojętną, jak gdyby ratunku nie było przeciwko niezbłaganej konieczności, fatalizmowi.

Jednakże potrzeba na to szukać rady jakiejś i przy silnej solidarności a karności znalazłaby się pewnie. Myśl, która natchnęła założenie Tellusa, była błogosławioną, rozbiła się tylko o niedołężne i złe jej wykonanie. Możemy się utrzymać przy ziemi, tak jest, ale ofiarą obyczajów, oszczędności, wyrzeczeniem wszelkiego zbytku, a nade wszystko zdając sobie sprawę z warunków nabywania majątności. Nie ma w polskich prowincjach pod panowaniem pruskim prawie ani jednych dóbr, nieodłufzonych do wysokości takiej, że dziedzic raczej za dzierżawcę długoletniego, niż za posiadacza uważać się może. Cięży pożyczka landszafty, banku jakiegoś, a po nich lichwiarskie długi, nieuchronny skutek kapitału obrotowego. Parę lat nieurodaju, parę pożyczek jeszcze na wysokie procenta, gdy ziemia nie daje nad 3% lub 4%, a ruina jest dokonana.

Pomimo tego miecza Damoklesa, zawieszonego nad głową, służba we dworze jest liczna i zbyteczna; koni na stajni nad potrzebę, życie starym trybem pańskie i kosztowne, żadnej fantazyi się nie odmawia sobie — cóż dziwnego, że majątność przechodzi w ręce Niemca, który, kapitał obrotowy mając własny, zapas grosza przezorny, żyjąc skromnie, jeżdżąc fornalskimi końmi — przy ziemi się utrzyma?

Ze się w ten sposób, dla dogodzenia miłości własnej, sprzedaje kawałkami ojczyznę, o tem nikt myśleć nie chce. Jakoś to będzie!! i życie prowadzi się dawnym obyczajem, nieogłędnie, a huczno i wystawnie.

Wszystko wreszcie poświęcić gotów człowiek, ale mi-

łości własnej, pychy swej — tego zewnętrznego blasku, który nikogo nie ludzi, jest śmiesznym tylko i smutnym zarazem — nikt nie ma siły się wyrzec.

Jest dziś prawdą, nieulegającą wątpliwości, że ziemia w tej cenie, jaką ją nabywać potrzeba, nie robi więcej nad najwyżej cztery od sta. Nie ma zaś długu, z wyjątkiem może najpierwszej hipoteki, któryby mniejszym nad 5 i 6 procent się opłacał, nie licząc lichwiarskich, na które 20 procent mało. W ten sposób ruina jest kwestyą czasu tylko i nieuchronnem następstwem..

Pomimo to, widzimy teraz jeszcze nabywających dobra z tak małym zasobem, iż utrzymanie się przy nich byłoby cudem.

Podniesienie wydajności ziemi, która przy bardzo umiejętnem, z przemysłem połączonem gospodarstwie, daleko wyższy procent przynosić może, zależy całe od wykształcenia gospodarza i jego pracy własnej najprzód, potem od taniego kapitału obrotowego. Tymczasem przychodzi najczęściej do majątku człowiek, który o gospodarstwie ma pojęcia fałszywe, niejasne, zastarzałe, lub zwichnięte — a w kieszeni mało, lub nie.. Dzierżawa ta wiekiusia, która się nazywa dziedzictwem, wymaga regularnie wnoszonych opłat, podatków, nakładów, więc albo się sprzedaje pod przymusem zboże, wódkę, wełnę itp. albo się na nie pożyczają.. Ziemia przynosi mało, lichwa wymaga wiele, — zadłużony majątek idzie na subhastę.

Złudzenie państwa przy kilku tysiącach morgów ziemi, wspinałym dworze, pałacu, parku itd. oślepia nabywcę.. Sądzi się panem, żyje po pańsku, dzieci wychowuje na paniczów — nie może i nie umie się obyć bez tysiąca rzeczy zbytkownych — i — pada ofiarą tego zaślepienia.

W całej niemal Europie, skutkiem dzisiejszych stosunków ekonomicznych, gospodarstwo rolne przebywa przesilenie ciężkie, które, nie wiadomo, jak się rozwiąże. Kwestyą jest jaka uprawa, jaka metoda odpowie najlepiej dzisiejszym warunkom; ziarno, czy mięso produkować należy itp. Bezmyślnie, wedle starej rutyny jakiejś gospodarować dziś nie można, samo zadanie nakładów, które niezawsze się opłacają, wymaga doskonałego obeznania się z miejscowymi warunkami — cóż, gdy do tak trudnego dzieła przychodzi człowiek, który myśli o tem, żeby żyć, nie żeby pracować, a żeby się bogatym okazać, a nie być?

Widzieliśmy przykłady włożonych nieogłędnie ogromnych kapitałów w nowo nabyte majątności; mogłoby się zdawać, że one dźwigną produkcję; — nieobrachowane w miejscu na skalę stosunków istotnych — spowodowały ruinę. Słyszymy też o braku i utrudnieniu kredytu — lecz gdy się ten znajdzie łatwym i tanim, cóż potem, gdy pożyczka użyta zostanie niewłaściwie, albo nawet zmarnowana?

Wszystko to są powszednie nasze grzechy, nieustannie się powtarzające, jawne i niezaprzeczone..

Każde inne społeczeństwo, zagrożone w swym bycie, po smutnych doświadczeniach lat wielu, przyszłoby do tego wniosku, że tam, gdzie się jednostki obronić nie umieją od zagłady, ogół cały i spójny zaopiekować się nimi powinien, ograniczyć ich swobodę, wziąć wreszcie w kuratelę.

Szlachta niemiecka w takim razie zawiązuje stowarzyszenia, pisze sobie statuta, poddaje się im, wzajemnie sobą opiekuje i broni..; lecz.. u nas, nawet ruiną zagrożony posiadacz ziemi nie postrada swej buty i podlegać jakiemuś prawu, narzuconemu sobie, nie zechce. Miałaby pozwolić na to, aby mu wglądano w rachunki, w wydatki, ograniczano je, obcięto etat pańskiego dworu? itp.

Z tego, co dziś widzimy, wywłaszczenie zupełne żywiołu polskiego w Poznańskim i w Prusach Zachodnich jest już tylko kwestyą czasu, czasu może długiego bardzo, ale — jeżeli się życie i sprawy nasze nie zmienia — nieuchronnie spełnić się mającego.. Narzekania nie pomogą, a manifestacje ducha polskiego w stroju, mowie, obrzędach itp. smutną tylko będą stawiać sprzeczność czczych form, obok niezdolności do czynu..

Tak samo jest i z emigracją włościan, groźne przybierającą rozmiary. Narzekamy na nią, piszemy komedye

i powieści dla ludu, ażeby go odwieść od niej — ale dla utrzymania włościanina na swej ziemi nie się nie czyni. Tymczasem emigracya ta nie jest żadną fantazyą, jest wynikiem tego, że proletaryat przyszłości nie ma i że tu praca jego się nie opłaca tak, aby mu ją zapewnić mogła.

Czy się u nas zawiązało choć jedno stowarzyszenie, któreby usiłowało zapobiedz emigracyi, ułatwić nabycie ziemi włościanom itp.?? Nie słyszałem o niczem podobnem. Ziemia w ręku małych posiadaczy, uprawiających ją własną pracą, wydaje, jak wiadomo, daleko więcej, niż własność wielka; włościanin przy opiece i pomocy mógłby się przy niej utrzymać.

Tak w tym, jak w innych kierunkach — co się u nas robi?? Nic! Społeczeństwo rozbite na obozy, choćby w sprawie bytu nie połączy się, bo je rozdzielają opinie, częstokroć wcale z obecnym stanem rzeczy niemające związku. Ginać więc musimy, bo jedyny ratunek, połączenie się silne, karność bezwzględna, ofiary miłości własnej — są niemożliwe.. Jakże na to patrzeć bez bólu i narzekania?

ZAUFANIE.

Powieść

HENRYKA JAMES.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy.)

XXII.

Uczynione odkrycie nie mogło uszczęśliwić Bernarda Longuevilla, upokorzyło jego dumę, zaniepokoiło sumienie, wydało mu się drożnem, niemożliwem, a jednakże czuł, że było prawdziwem, że owańdno całym jego jestestwem. Noc zapadła ciemna, wiatr dał chłodny od morza, a on siedział z głową przechyloną, nie czując nic, prócz żaru, palącego mu piersi. Kocha i kochał już przed trzema laty, a wobec tego jakże nakreślało się postępowanie jego na przeciw Gordona?... Przed Anielą nigdy nie był zdradził swych uczuć, bo wiedział już teraz, że go sądziła uprzedzonym dla siebie, zatem nie mu nie pozostawało, jak uciekać zdala od niej, nie widzieć jej więcej. — Był on w jednym z tych usposobień, w którym jakiegobądź postanowienie staje się deską zbawienia, uspokoiła go więc w końcu myśl wyjazdu: podniósł się z miejsca, by wrócić do hotelu, a gdy zasypiał, pierwsze promienie słońca wychylały się zza obłoków. Zbudziwszy się bardzo późno, uczuł się niespodzianie swobodnym. Wszelkie widma nocne pierzchały gdzieś w dali, pozostawała tylko uroczą miłość, która przy dziennym świetle nie wydała mu się wcale drożną, lecz była promieniąjąca pięknością. Odbiegły go wszelkie czarne mary, czuł się szczęśliwym, szczęśliwym, jak nie był nigdy i zamiast wyjechać z Blanquais-les-Galets wybrał się na daleką przechadzkę. Szedł mil kilka wzdłuż brzegu, nie zatrzymując się wcale, nie czując nawet, że gorące promienie słońca stawały się coraz mniej bystrymi, aż znużony, rzucił się na trawę i teraz dopiero spostrzegł nadchodzący już wieczór. Szedł był nad morzem, nad skałami, nieznana ścieżyną, więc z powrotem inną udał się drogą, a doszedłszy do sąsiedniej wioski, najał konie, któremi dopiero o północy zajechał do hotelu. Było już tak późno, że położył się zaraz i niebawem zasnął snem spokojnym. Kiedy nazajutrz obudził się i wstał dość wcześnie, zdało mu się śmiesznem i niestosownem wyjeżdżać bez pożegnania pań Vivian, które, nie wiedząc o stanie jego duszy i tak dziwiły się pewnie, nie widząc go poprzednio dzień cały. Skoro więc tylko nadeszła po temu pora, pobiegł do miłego ustronia, lecz jakże niemiłe został zdziwiony, dowiedziawszy się, że panie wyjechały. Młoda Francuzka, dawna służąca p. Vivian, niechętnie odpowiadając

na zapytania przybyłego, powiedziała mu tylko, że panie wyjechały prawdopodobnie dla tego, bo tylko na pięć tygodni najęły mieszkanie, a czas ten właśnie się skończył, że zagorzałe turystki niezwykle długo pozostać na jednym miejscu, że powróciły do Paryża, gdzie mają rzeczywiste mieszkanie, więc jeżeli pragnie listownie porozumieć się z nimi, może zgłosić się na ręce bankiera, mieszkającego na rue de Province. Bernard, widząc, że więcej się nie dowie, pożegnał ją uprzejmie, a czytelnicy nasi może pomyślą, że pierwszym pociągiem pospieszył do Paryża. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Bernard całe dwa tygodnie pozostał w Blanquais, spędzając dni na dalekich wycieczkach po okolicy, lub przechadzkach nad brzegiem morza. Nie zaznajomił się z nikim i do nikogo nie przemówił słowa, a nie chcąc myśleć o przyszłości, coraz więcej zagłębiał w się przeszłość minioną. Pewnego jednak wieczoru, gdy, jak zwykle, chodził nad wybrzeżem, głos jakiś niebiański, ten sam pewnie, co przed dwoma tygodniami odsonił mu tajemnicę jego dla Anieli miłości, szepnął mu znowu na ucho coś, co go w pierwszej chwili oburzyło i sprowadziło noc bezsenność, lecz nazajutrz pchnęło go w stronę Paryża. Siedząc w wagonie z zamkniętymi oczyma, zatopiony w myślach, widział już bujną swą wyobraźnią Anielę Vivian, nie tę nienawidzącą go, gniewną, uciekającą przed nim, lecz całkiem inną, nieznaną mu dotąd, a obraz jej nie musiał być mu niemiłym, skoro zaraz za przyjazdem do Paryża pobiegł na rue de Province i choć tamże mieszkało kilku bankierów, odszukał tego, który miał adres pani Vivian. W kilka godzin później zastukał do drzwi domu swej ukochanej.

XXIII.

Ta sama Francuzka, którą widział w Blanquais, przyszła mu otworzyć:

— Nie chciała panienka dać mi adresu, a jednakże odszukać go zdołałem — uprzejmie odezwał się Bernard.

— Ale wiele pan czasu potrzebował na to, odrzekła filuternie i wpuszczając gościa do salonu, dorzuciła niepytana: Tylko starsza pani jest w domu.

Było to w pierwszych dniach września, Paryż mniej był ludny, niż zwykle, wonne powietrze jesienne wdzięcznie harmonizowało z pustymi ulicami i zasłoniętymi oknami pierwszorzędných lokali. Mieszkanie pani Vivian, najęte niedaleko Arc-de Triomphe, znajdowało się na piątym piętrze. Bernardowi salonik jego wydał się niezwykle miłym i gustownie urządzonym, okna, szeroko rozwarłe, wychodziły na galerię, zapełnioną kwiatami, skąd widok rozciągał się na pola Elizejskie, na wysokie wieże kościoła Notre-Dame i na ten cały wspaniały Paryż, tak porywający, a tak zwodniczy. Bernard miał czas rozpatrzyć się w całym otoczeniu, czekając dość długo, zanim pani Vivian zechciała się ukazać. Weszła dziwnie nieswoja, niespokojna, jakby zalekniona, więc Bernard ozwał się pierwszy:

— Odnalazłem panie, choć służąca w Blanquais nie chciała mi udzielić ich adresu. Wyjazd pań tak nagły w pierwszej chwili podał mi myśl, żeście w ten sposób chciały mnie się pozbyć. Pamiętam, że przed trzema laty tak samo opuściliście panie Baden-Baden.

— Baden nadzwyczaj miłym jest miejscem, lecz niepodobna było pozostać w niem na zawsze...

— Rozmaite są ludzkie zapatrywania, przerwał Bernard, lecz mnie się zdaje, że życie nasze tak tam było miłe, iż zmieniać je było poniekąd zbrodnią i gdyby nikt z nas nie był się poruszył, bylibyśmy mogli pozostać tam aż dotąd.

Pani Vivian spojrzała z zadziwieniem: — I bylibyśmy doczekali się chwil mniej przyjemnych. Brzydkie powietrze... dodała wdzięcznie.

— Prawdopodobnie, zaśmiał się Bernard, natura byłaby nam pozazdrościła dobrego humoru, spokojnego szczęścia, to jest przynajmniej niektórym z nas. Lecz zbyt jestem zarozumiały, to ja tylko czułem się tak szczęśliwym, bo panie okazałyście czynem, że dość wam już było mego towa-

rzystwa i trzeba tylko mieć moje usposobienie, aby się nie zniechęcić, czyli raczej być tak śmiałym i narzucać się paniom jeszcze i tutaj.

— Wierzaj pan, bardzo mu jestem rada, przerwała matka Anieli, a głos jej brzmiał szczerością.

— A więc myśl tego nagłego wyjazdu z Blanquais należy się córce pani?

Pani Vivian spuściła oczy: — Okoliczności zmuszały nas do wyjazdu... Co dopiero powróciliśmy z Fontainebleau, zamierzałam pisać do pana... dodała słodko.

— Jakże byłabyś mnie pani uszczęśliwiła! zawołał Bernard.

— Chciałam panu oznaczyć miejsce naszego pobytu, donieść, że byłibyśmy rade widzieć go u siebie.

— Dziękuję pani choćby za intencją, gdyż wątpię, aby panna Aniela była zechciała się zgodzić na ten czyn życzliwości pani.

— Aniela tak bardzo jest dziwna, rzekła zakłopotana matka.

— Przy pierwszym naszym spotkaniu tak samo tłumaczyłaś pani swą córkę.

— Tak jest, w Siena.

— Jakże mi miło, że już teraz pani sama raczysz wspominać to nasze pierwsze spotkanie.

— Może i tak lepiej, z westchnieniem odrzekła pani Vivian i przeszła na balkon, skąd popatrzywszy na ulicę, ozwała się znowu: Lada chwilę Aniela powróci musi, poszła tylko odwiedzić naszą znajomą, mieszkającą w pobliżu. Ale nie powinienes pan przypominać nam Siena.

„Pocziwa kobieta, pomyślał Bernard, zawsze trwa w zamiarze wyswatania córki i już teraz oddałaby ją chętnie... nawet mnie“ — i zbliżył się do niej, aby ucałować jej rączkę w dowód wdzięczności, gdy rozległ się głos dzwonka, a z nim Aniela ukazała się na progu.

— Pan Longueville, rzekła matka, patrzaj, odszukał nas aż tutaj.

— Odszukał, powtórzyła Aniela, dziwnie brzmi w ustach mamy.

— A jakże! nie inaczej, szukałem pań, wtrącił Bernard, tak nagle, niespodziewanie ulotniłyście się z Blanquais-les-Galets.

— Ulotniły... powtórzyła znowu Aniela, przyznajcie państwo, że zabawnie określenie wasze myśli.

— Mniejsza o wyrażenie, byleś pani zrozumieć chciała, że pragnąłem panie widzieć i całe dni spędzałem na rozmyślaniu, czy mi wolno jeszcze stanąć przed niemi.

— Dla czego miało panu zbywać na odwagę? Wszakże, mam, nie jesteśmy tak straszne? jeżeli nie lękałeś się pan naszego piątego piętra.

— O tem nie ma i co mówić, mieszkanie pań tak pełne wdzięku, że nie żał wejść jak najwyżej, choćby tylko, aby nań popatrzeć.

— Aby lepiej mu się przypatrzeć, musisz pan powracać częściej, nieprawdaż Anielko?

— Gdybyście panie pozwoliły, powracałbym jak najczęściej.

— Niezrównanie to dla nas pochlebne, odparła Aniela, zwracając wzrok w przeciwną stronę.

— Czy mówisz pani szczerze?

— Już to pan zawsze równie dobrze o mnie sądzisz, nie dość, że twierdzisz, iż uciekłyśmy przed nim, lecz jeszcze chcesz pan dowieść, żeśmy niegościnnie.

— O! wierzaj pani, już teraz nie zdołałbym źle o niej myśleć, choćbyś mi pani, nie wiem co, powiedziała.

— Szczerze wdzięczną panu jestem, gdyż to mnie ośmiela wyznać, że ogromnie jestem znużona i potrzebuję spoczynku, co mówiąc, Aniela posunęła się ku drzwiom i znikła za portylerą. Pani Vivian przerażona, błagając wejrzenie rzuciła na Longueville i zaczęła tłumaczyć, że córka rzeczywiście jest bardzo zmęczona.

— Proszę, mówiła z cicha, nie zważaj pan na jej powiedzenia.

— Nie zważać! zawołał Bernard, a toż właśnie co naj-

więcej mnie w niej zachwycił! porywał! Już teraz, śmiem sobie pochlebiać, zaczynam ją trochę rozumieć.

— A więc przyjdiesz pan jutro?...

— Mam nadzieję, że nie tylko jutro, zawołał Bernard i wesoło pożegnał zakłopotaną matkę.

XXIV.

I nie mylił się Bernard. Nazajutrz o tej samej godzinie w ślicznym saloniku zastał obie panie i obie przyjeły go bardzo serdecznie. Aniela, jakby po nauce matczynej, niezwykle była uprzejma, pani Vivian zaś po chwilowej rozmowie chwyciła za konewkę, przygotowaną do podlewania kwiatów i nie zważając na gościa, wyszła na galeryę, a stamtąd do bocznego pokoju.

Bernard skorzystał z tej chwili, aby powiedzieć Anieli, że ma jej coś do wyznania, a gdy to mówił, wyraz jego twarzy odział się taką powagą, że śliczne dziewczę zadrżało.

— Straszysz mnie pan, zawołała, śmiejąc się, ale usmiech jej zdradzał rzeczywiste zaniepokojenie.

— Zapewniam panią, jam niestraszny w tej chwili, lecz pokorny, błagający przebaczenia.

— Bardzo mi przykro, przerwała Aniela, ale niecierpię przeproszeń, nawet gdy mi kto zawinił, a cóż dopiero, gdy nie umiem odgadnąć, o co chodzi.

— Więc mnie pani nie niecierpisz! nie nienawidzisz! wybuchnął Bernard.

— Aby się tego dowiedzieć, nie było o co błagać, nie bierz mi pan za złe, ale miałam coś ważniejszego do czynienia.

— Więc pani mną pogardzasz? zapytał Bernard.

— Jakże uparcie obstajesz pan przy swoim... czy to się zwie pokorą? — nie wiem.

— Oznaczałoby to jeszcze, że pani myślisz o mnie, cóż więc dziwnego, że choć tego wydrzeć sobie nie daję?... rzekł z goryczą.

— Pamiętam, że zawsze uniewinniać się pan umiałeś, lecz czy zawsze słusznie?...

— W tym razie twierdzenie nieuzasadnione, odrzekł Bernard poważnie: kocham panią od trzech lat.

— Czy to chciałeś mi pan wyznać? zapytała ciszej, podchodząc ku oknu.

Bernard postąpił za nią: — Mam nadzieję, nie obraziłem pani, bo nie mówię lekkomyślnie, dla częściej zabawy, lecz słowa moje są określeniem najszczerzej prawdy. Sam dowiedziałem się o tem dopiero niedawno, długo przedtem czułem, nim zdołałem zdać sobie sprawę, czyli raczej zanim prawdzie uwierzyć chciałem. Myśląc ciągle o pani, łudziłem się i wmawiałem w siebie, że myślę o czem innym i aby zapomnieć, wlokłem się po dalekich krajach... daremnie! zapomnieć nie mogłem... na dnie mej duszy jedno tylko było pragnienie: ujrzeć panią! Na jej widok w Blanquais rozwidnił się świat uczuć moich, zagadka została rozwiązana, a jeszcze chciałem zbadać się lepiej i dopiero pewny zupełnie, że kocham panią, jak własne życie, podażyłem tu za nią.

Aniela słuchała go nieruchoma, zapatrzona w okno. Gdy skończył: — Znasz mnie pan zbyt mało, odrzekła, zwracając na niego zaleknione wejrzenie.

— Znam panią dostatecznie, odparł Bernard, pamiętaj pani, że już w Baden wiedziałem o niej bardzo wiele.

— Prawda, ale to nie mogło się przyczynić do polubienia mnie... Nie rozumiem...

Bernard stał chwilę, milcząc: Masz pani słusność, zawołał nagle, zrozumieć mnie nie możesz, pozwól więc, że się wytłumaczę.

— Nie! nie teraz! przerwała Aniela, powiedziałeś pan już dosyć, innym razem powiesz mi resztę. I wyszła na balkon. Bernard, idąc za nią, mówił dalej: — Myślałem z początku, że pani nie lubił, a było przeciwnie, pokochałem ją od pierwszego widzenia... w Siena gdym szkicował jej rysy.

— Otóż z tego musisz się pan wytłumaczyć... tak byłem wtenczas piepozorną, nieznosną, okropną...

— To tylko pani tak się zdawało, odrzekł z dumą, a blade oblicze dziewczyny zajaśniało nagłym rumieńcem.

— Ale i pańskie postępowanie, ozwała się po chwili, było dziwaczne, o ile pamiętam, niebardzo przyjemne.

— Może nie byłem przyjemny, choć się starałem o to, ale ja też nigdy nie umiałem zjeść sobie łask pani i bodaj, czy nauczę się tego kiedy. Proszę, daj mi pani choćby tylko sposobność po temu.

Aniela przebiegła wzrokiem ogromną stolicę Francji:

— Czy wiesz pan, jak mógłbyś przypodobać mi się obecnie? szepnęła — oto zostawiając mnie samą.

• Bernard, nic nie mówiąc, przeszedł do pokoju i biorąc za kapelusz: Jak pani widzisz, nie przebiegam w środkach, rzekł smutnie, lecz czy mogę powrócić jutro?

— Szczerze panu jestem wdzięczną. Taka uległość zasługuje na nagrodę, zatem do widzenia!

Gdy przyszedł nazajutrz, przyjeła go sama, a Bernard, skoro tylko znalazł sposobną chwilę, zapytał ciekawie: Skąd pani wiedziałaś w Baden, że ja nie lubię.

— Czy tak?... a zapewniałeś mnie pan wczoraj, śmiejąc się, rzekła Aniela, że już wtenczas lubiłeś mnie bardzo.

— Ale nie zapomniałem dodać, że sam sądziłem inaczej, jakże więc pani dopatrzeć mogła czegoś?

— Uważałam.

— Musiałaś pani uważać bardzo bacznie, gdyż pozor nie starałem się być nadzwyczaj uprzejmym.

— Było to bardzo pozornie, dorzuciła z uśmiechem.

— A jednakże cześć moja dla pani była głęboką, zbyt głęboką może.

— Może, ale tak bardzo była ukryta, iż dojrzeć jej nie umiałam i pewną byłam, że nie podobam się panu.

— Pamiętasz pani, jak często w Baden zadawałaś kłam własnym słowom?

— Straszna masz pan pamięć.

— Słusznie ją pani zwie straszną, gdyż ona to w tak pięknem świetle przedstawia mi teraz dni spędzone w Baden.

— Azatem porozumieliśmy się nareszcie? poważnie zapytała Aniela, a powaga ta wydała się Bernardowi piękniejszą nad wszystko w świecie.

— Od pani to tylko zależy, zawołał z całym zapalem tłumionej, a gorącej miłości, już teraz niewolno pani mnie odpychać, dość czasu miałaś do namysłu, dość do otrząśnienia się z zadziwienia i wzruszenia. Kocham cię i u nóg twoich składam wszystko, co posiadam! ale spojrzawszy na ukochaną, zawołał boleśnie: Ach! pani nie możesz zapomnieć!...

Teraz Aniela spojrzała na niego: Zapomnieć!.. darować!... cóż ja mam do darowania?... a słowa jej zabrzmiały tak wdzięcznie, że Bernard uszczęśliwiony, pochwylił ją za obie ręce i gdyby pani Vivian była weszła w tej chwili, byłaby go ujrzała na kolanach u stóp swej córki. Ale pani Vivian nie pokazała się tego dnia wcale, dopiero nazajutrz, witając go, zaraz na wstępie wyznała, że szczerze się cieszy szczęściem córki, która od pierwszego widzenia zajęła się nim wyjątkowo. Wyznała zarazem, że w Baden inne miała życzenia dla Anieli, lecz gdy te spełzły na niczem, obecnie całe zaufanie pokłada w sercu i rozumie wybranego przez córkę i wierzy, że zdoła jej zapewnić zasłużone szczęście. Bernard gorącymi słowami dziękował przyszłej matce za okazane mu zaufanie i stósownie do danej obietnicy myślał tylko odtąd, jak uszczęśliwić Anielę i choć w części udzielić jej tego pocucia rozkoszy, którą on oddychał całymi piersiami. Jedynem cierniem tych chwil błogich było wspomnienie, iż kiedyś oczernił ukochaną i chcąc się pozbyć tej trapiącej go mary, prosił Anielę, aby wysłuchała jego oskarżenia. Długo opierała się temu, wspomnienie Gordona było jej przykrem i zwykła je usuwać, lecz gdy jednego razu, o szarej godzinie, siedzieli przed kominkiem i Bernard znowu zapewniał ją zaczął, że wyznanie prawdy jest jego warunkiem szczęścia, zgodziła się na życzenie ukochanego, który z całą szczerością opowiedział jej swoje postępowanie. Słuchała milcząc, poczem uznała także, że i ona miała chwile, w których jej się zdawało, że tylko nienawidzić może:

— Postawiliście mnie pod sąd, mówiła z przejęciem, jak robaka na śpilce pod szkło powiększające i pytasz, skąd to odgadłam? Nie ma kobiety, choćby najbardziej ograniczonej, któraby nie odczuła takiej rzeczy, coś więc dziwnego, że postanowiłam skrzyżować wasze szyki, czyli raczej, że wiedzona instynktem kobiecym, starałam się was omylić?

— I próba powiodła się znakomicie, odparł Bernard, a mówiąc to, zachmurzył się tak ponuro, że Aniela, chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie, zaczęła wesoło:

— Powiedziałeś, że straszne stworzenie, że złą będę żoną, z ciebie więc biedny mąż będzie, smutny los cię czeka! Obyś się tylko przekonał, że myliłeś się w tem twierdzeniu. — I znikła chmura z czoła Bernarda i aby w jak najkrótszym czasie przekonać się, jaką Aniela będzie żoną, oznaczono dzień ślubu na koniec listopada. Z postanowieniem tem nadeszła chwila powiadomienia o wszystkim Gordona Wrighta.

Odkąd Bernard był po słowie z Aniela, zamierzał codziennie wiadomość tę udzielić przyjacielowi, lecz codziennie odkładał na później, aż w końcu przesłał mu fakt goły, nie dodając szczegółów, ani uwag. List jego nie zastał państwa Wright w Nowym Yorku, dla poratowania zdrowia Blanki wybrali się do Euyopy i jak Gordon donosił Bernardowi, zamierzali przybyć do Paryża, aby tamże ostatecznie postanowić, czy następnie jechać mają pod włoskie niebo, czy nad brzegi Nilu. — W dopisku dodał Gordon, że w podróży tej będzie im towarzyszył kapitan Lovelock.

XXV.

Bernard przygotował się na przyjazd przyjaciela, a przygotował się moralnie, wewnętrznie i ludził się, że tenże powiadomi go jeszcze jednym listem, gdy pewnego poranku wręczono mu z hotelu bilecik Gordona w następujących słowach: — „Znużeni podróżą, spaliliśmy za długo, dla tego dopiero o tak spóźnionej godzinie spieszę Cię powiadomić o naszym przyjeździe i proszę, jeżeli możesz, przybywaj co prędzej do nas na śniadanie. Pilno mi widzieć Cię i uściskać.“

Na tak serdeczne wezwanie przyjaciela Bernard podążył jak najspieszniej, ale we wskazanym salonie zamiast państwa Wright zastał kapitana Lovelock, który niecierpliwie przechadzał się po pokoju i zaraz po powitaniu Longueville zaczął się uskarżać na nieakuratność ludzką, na Blankę Wright, która zawsze i wszędzie zwykła się spóźniać. Mówił on szybko, gładko, czego nie czynił dawniej, a Bernard prócz tej zmiany dopatrzył jeszcze, że stał się rozdrażnionym, niecierpliwym. Zaciekawiony, co było tego przyczyną, zaczął stawiać pytania, gdy drzwi się otworzyły i weszła Blanka, tak niezmieniona, iż Bernardowi zdało się, że ją widział wczoraj.

— Nic nie wiedziałam, że pan tu jesteście, wyrzekła, podając Bernardowi drobną rączkę. — Sliczne będziecie pan miał wyobrażenie o naszej grzeczności, a nie zważając na kapitana Lovelock, mówiła dalej: Nie pytam, jak się pan miewasz, bo wyglądasz jak róża stulistna. Cóż pana spotkało tak bardzo dobrego, że zdajesz się tak niezrównanie swobodny, promieniejący?...

— To zależy, do kogo ten przymiotnik zastosowany... wtrącił kapitan Lovelock, gdyż n. p. jeżeli do goniącego za panią...

— Aa!... pan tutaj? przerwała Blanka z zdziwieniem, nie widziałam, czyli raczej wzięłam pana za garsona. Przyjść nieproszony na śniadanie — zwie się gonić za mną! Przyznaj, panie Longueville, że to niezbyt nużące. Ale zechciej, panie Lovelock, zadzwonić, aby podano nam śniadanie, Gordon nie może żądać, abyśmy dłużej na niego czekali, nadużywa cierpliwości chorej żony. Może pan ciekawy, co robi? oto pisze list; dziennie pisze ich z osmańskiem. Szczęściem, że jestem jego żoną, gdyż gotówby pisać i do mnie, a niecierpię odpisywać choćby na zaproszenie. Jeżeli kapitan Lovelock powie panu kiedy, że miał list ode mnie, z góry powiedz mu, że to nie prawda.

Gdybym miała potrzebować czegoś od niego, posługiwałabym się stokroć dogodniejszym telegrafem. Trzy razy już nawet telegrafowałam i to jeszcze w interesie pantofli, które zostawił u nas, a z którymi nie wiedziałam, co zrobić. Gordon wręcz przeciwnie pisze dniami całymi i zdaje mi się, że znam go już tylko z plec, a może i cokolwiek z profilu; podniesionej głowy z uśmiechem nie widziałam u niego od niepamiętnych czasów, nie wiem, czybym go takim poznała jeszcze.

Jakby na zadanie kłamu słowom Blanki w tej samej chwili ukazał się Gordon, swobodnie uśmiechnięty: — Slicznego wyobrażenia nabrałeś o mnie! zawołał, zwracając się do Bernarda: Myślałeś zapewne, że całkiem zdziwaczę, pozwalając ci tak długo czekać na siebie, lecz musiałem list napisać, a wolałem to wprawdzie ukończyć, aby, będąc raz z tobą, oddać ci się, na jak długo zechcesz.

— Już to mój mąż wszystko uzasadnić zdoła, wtrąciła Blanka, gdy tenże w milczeniu witał kapitana Lovelock.

— Dowodzenia Gordona są równie piękne, jak uczucia innych, odparł Bernard i rozmowa przeszedłszy na odmienny przedmiot, potoczyła się swobodnie, a Blanka nie omieszkła zauważać raz jeszcze, że Bernard wygląda, jakby co najmniej był zaręczony z córką lorda majora.

Gordon uznał słuszną jej uwagę, (choć już teraz rzadko jej ustępował) lecz nie pytał przyjaciela o powody szczęścia, dość mu było widzieć go zadowolonym.

Tymczasem Bernard nie czuł się swobodnym, krępowała go tajemnica, którą ukrywał przed przyjaciółmi, bolał przykry stosunek, zaszły między dwojgiem tych młodych, na zawsze skutych razem i żałując Blanki, cierpiał nad Gordonem. Po skończonem śniadaniu ten ostatni zaproponował mu przechadzkę po mieście, zostawili więc Blankę kapitanowi Lovelock i wybrali się ku polom Elizejskim.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORRESPONDENCJE „DWUTYGODNIKA.“

Zpoza kordonu.

Umysłowe życie narodu skupia się niezaprzeczenie w Warszawie mimo utrudnienia, spowodowanego cenzurą. Dla czego tak jest? Dla czego miasta Kraków, Lwów, lub Poznań nie zdobyły się dotąd na pisma, przenoszące wartość warszawskie wydawnictwa? Nie teraz chcę zająć się odpowiedzią. — Fakt istnieje, że najznakomitsi pisarze umieszczają najlepsze prace w Warszawie, poddając się dobrowolnie pod krępujące więzy cenzuralne. — Ciekawą jest rzeczą przyglądać się z boku temu ruchowi, odbijającemu swe promienie w piśmiennictwie, jakoby oblicze człowieka w zwierciadle. Spróbujmy, stanawszy opodal, zapuścić oko ciekawe.

Zacznijmy od działów pojedynczych. — Polityka miejscowa, zapatrywania się na położenie obecne kraju, lub na nadzieje przyszłości, nie istnieją w dziennikach naszych. Jest to owoc zakazany.

Polityka wielka zajmuje znaczne łamy w szpaltach, ale potrzeba z nią obchodzić się ostrożnie, nie domawiać nasuwających się myśli, jest to więc niwa dość jałowa. Życie społeczne za to bywa roztrząsane gorąco. Na pierwszy rzut oka widać dwa nieprzyjemne obozy, młodej i starej prasy, pozytywistami i klerykalnymi, albo postępowcami i konserwatystami zwane. Wpatrzywszy się jednak bliżej, przeciwnicy wydają na rodzonych braci w idei, a różnic dopatrzyć trudno. Wszyscy nawołują do pracy podstawowej, wskazując pola działania, wszyscy żądają czynu od wszystkich bez wyjątku obywateli; wszyscy otaczają poszanowaniem instytucje pożyteczne, a karzą psujące obyczaje zabawy. W idei nie masz tu więc obozów, przeciwnie, panuje jednomyślność wielka. Dla czego więc

osobistości kłują się dotkliwie?... trudno zrozumieć, biorąc rzeczy z teoretycznego stanowiska.

Rozpatrzmy teraz dział filozoficzny. — Tutaj dopatrzmy się z łatwością pewnych różnic. — Tak zwani starzy, pomiędzy którymi jest wielu młodych co do wieku, przyjmują objawioną religią za podstawę filozoficznych potrzeb i moralnych zasad. — Nie przeszkadza im to rozpatrywać obiektywnie różnych poglądów filozofów dawnych i obecnych. „Biblioteka Warszawska“ daje czytelnikom sprawozdanie z pojęć H. Szpencera, Hartmana, Majlendera i innych. — Żaden jednak ze systemów tych myślicieli nie przypadł jej szczególnie do smaku, woli zatem trzymać się starych dróg chrystyanizmu, niż puszczać się na manowce monizmu, wiodącego w końcu do ateizmu i do zwichnięcia wszystkich podstaw moralnych. Tymczasem młodzi (nie zawsze znów młodzi co do wieku) odrzucając objawienie, chcą samoistnie szukać prawdy z pomocą nauk przyrodzonych. Nie przyjęli jednak żadnego systemu filozoficznego, nie umiłowali i nie uznali go za prawdę. W pismach swych sympatyzują z wolnomyślicielami, chociaż zgodzić się całkowicie na ich idee nie chcą. Nadzieje znalezienia prawdy złożyli w ręce dalekiej przyszłości — a tymczasowo chcą poprzestać na szukaniu jej. Nie odrzucają wszakże zasad moralności chrześcijańskiej, jako najwyższej i najlepiej pojętych w dziejach ludzkości. Przytem żywią ci „młodzi“ pewną niechęć do kościoła katolickiego, zdradzając ją mimo woli, gdyż z programu wyznają dlań obojętność, jako dla instytucji, zdaniem ich, przeżyłej, bezsilnej, a więc skazanej na zatracenie samym biegiem czasu. — Takie są rzeczywiste różnice w zapatrywaniach literatów naszych, choć pozornie wydają się o wiele znaczniejszymi. — Dla czego? Oto urazy prywatne, zawiści i różne słabostki ludzkie przywiązują się do walki o idee, zajątrząc ją coraz ostrzej.

Ostatnia książka Piotra Chmielowskiego, p. n. „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu“, rozogniła owe zapasy w wysokim stopniu. — Krytyk, uznawany dotychczas za bezstronnego, obrany na przyszłego profesora literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim, wypowiedział sąd o autorach, należących do obozu postępowców, z widoczną sympatją, odsłaniając ich zalety, a przemilczając wady. O pisarzach zaś, należących do drugiego obozu, obszedł się przeciwnie, t. j. rozszerzył się nad ich wadami, a skąpo mówił o zaletach. — Oburzyło to w najwyższy sposób starą prasę, a pociski posypały się z obu stron ogniste. — Najspokojniejszy sąd o książce owej Henryka Sienkiewicza odmówił jej wszelkiej wartości, nazwał ją stronną wysoce. Ale i Sienkiewiczowi utrzymanie się na punkcie bezstronności absolutnej było niemożliwem. Chmielowski, mówiąc o walce młodych ze starymi, nie tań błędów i niedorzeczności, popełnianych w pierwszym, gorętszym obozie, przyznał im jednak pewien wpływ na rozbudzenie się u nas z odrętwienia po katastrofie 63-go roku; Sienkiewicz z góry zaprzecza temu, utrzymując, że rozbudzenie musiało przyjść jako konieczność następstw, a jednak zaraz potem mówi o dziennikach postępowców słowami: „zasługi pism powyższych polegają na dodatniej żywotności, na poruszeniu kwestyi istotnie ważnych, pracy u podstaw, oświaty, zachęcenia do przemysłu, do handlu, na przestrzeganiu przed naciskiem germanizmu, na budzeniu odrętwiałego po katastrofie ogółu słowy: „obudź się i pracuj.“ — Jest to słowo w słowo to samo, co Chmielowski powiedział, po cóż więc było kłaść z góry owo zaprzeczenie wszelkiej zasługi?... Przy ratowaniu pałacego się budynku pierwszy, kto krzykiem obudził drugich i powołał do ratunku, zasługuje na pewną wdzięczność, choćby dla braku sił odpowiednich sam cudów ocalenia nie dokonał.

Takie są zasadnicze odcienie dwóch prądów, wiejących obecnie w Warszawie. Pisma, przezywane przez pozytywistów „jezuicko-klerykalno-konserwatywnymi“, a nawet „wsteczniemi obskurantami“, różnią się, jakżeśmy już nadmienili, od przeciwników tem tylko, że szanują objawioną prawdę i kościół katolicki, że pragną na starych fundamentach budować gmach nowy, postępując wedle praw, rządzących dziejami od początku ludzkości. Panowie postępowcy, chcą-

cy wziąć w monopol postęp, co prawda, nie zarysowali sobie wyraźnie planu przyszłego budynku, dzisiejszy stan nauki niczego ich nie nauczył i nie odchylił zasłony przeznaczeń człowieka, mimo to niezniechęceni, nie przestają wierzyć, że nauka pozytywna jedynie zastąpi kiedyś wiarę, uczyni ludzi takimi, jakimi być powinni i otworzy wrota do szczęścia na ziemi.

Nie możemy tu wstrzymać się od osobistej uwagi, że doświadczenie uczy, iż często prostak bywa cnotliwszym, i staje się pożyteczniejszym ludzkości, niż człowiek uczony; doświadczenie uczy także, że nauka nie wyteplia egoizmu i namietności. czynników, prowadzących ludzi do złego i do szkody bliźniego. Nie idzie za tem, aby ciemnota była lepszą od światła, ale w oświeceniu mas nie można pokładać nadziei szczęścia ludzkości jedynie i niezawodnie. Oświecone narody gnębią ludy niemiłosiernie, lichym sofizmatem zagłuszając poczucie sprawiedliwości.

Postępowcy, nie bacząc na to, wołają: światła — światła więcej, naszym zaś hasłem jest: „cnoty i światła więcej!“ —

Dość na dzisiaj, później powiemy coś więcej o owym ruchu umysłowym, o krytyce literackiej, o ludziach nauki, poetach i artystach.

A. M.

Lwów, 23 października 1881.

Powietrze takie okropne, że trudno zacząć czem innem, jak niepogodą. Już to taka stara nawyczka mówić o pogodzie, a żalić się na nią!... Jeżeli deszcz pada od tygodnia, błota pełno wszędzie, bruki i chodniki najgorsze, toż i trudno być zadowolonym, trudno zapomnieć o tem, co tak daje się we znaki. Siedzieć tu trzeba za piecem, lub gawędzić przy kominku; — pierwsze trochę nudne, drugie niepodobne, bo już kominków prawie nie ma, a i gawęda wychodzi z mody. Cóż robić? choć słota i zimno i błoto, trzeba rzucać cichy, spokojny kąt domowy i szukać życia, tam, gdzie ono bije żywszem tętnem, gdzie podnosi nas, pozwala zapomnieć o tem, co dolega ciału, a karmi ducha. Więc, co kto lubi. Jedni spieszą do sali sejmowej przysłuchiwać się obradom nad dobrem kraju, potem długie następują dysputy o potrzebach i biedach — a te ostatnie to chyba już nigdy nas nie opuszczą. Ciągłe ich pod dostatkiem, a bodaj czy nie zawiele. Ktoby zliczył rozprawy, artykuły i broszury, które tych sprawom poświęcono od roku, dwóch lub trzech wreszcie, przelakłyby się istotnie i albo by zwątpił w możność zaradzenia, albo co nowego napisał. Dziś świeżo leży na wystawach księgarskich broszura p. t. „Nasze biedy i potrzeby.“ Czy kiedy i jaki odniesie ten głos skutek, okaże przyszłość. Gorliwie pracuje nad temi sprawami towarzystwo „Spółnia“, coż? kiedy najlepsze chęci bez zasobów, bez znacznych kapitałów, które by można perzeforsować coś w handlu i przemyśle, niewiele odnieść mogą skutku.

Wspomnieć się godzi o wystawie ogrodniczej. Urządzona bardzo pięknie, choć w ogóle była szczupła, lecz co najgorsza, że wielu ogrodników nie brało w niej udziału, jakaś jednostronność w niej się uwydatniała.

Daleko więcej spodziewamy się po wystawie prac kobiet, którą muzeum przemysłowe przygotowuje na grudzień. Hafty, tkaniny, koronki i tysiące rozmaitych prac będzie tam można zobaczyć, z dotychczasowych zgłoszeń można wnosić o istotnem zajęciu się. Widzieliśmy już przygotowane bardzo ładne i oryginalne roboty. Radzi pomówimy o tem obszernie.

Sezon koncertów i popisów muzycznych rozpoczął się na dobre. Na pierwszym miejscu stawiamy koncerta księżnej Marceliny Czartoryskiej. Znawcyby trzeba wielkiego, aby się wdać w krytykę szczegółową, techniczną; co wszakże każdy zrozumiał, odczuł, to tę prostotę, niewymuszoność i że tak rzec się godzi, szczerłość w grze. Nigdzie tam nic nie było na efekt obliczonego, a za to nuta odbrzmiewała głębokiem uczuciem. Uczennica Szopena, złożyła hołd swemu

mistrzowi. Grała jego dzieł wiele, a w tych jego cudnych mazurkach czuł każdy nutę tak swojską, tak rzewną, że chyba nie godziłoby się mówić nic o technice. Tam porywało ucho melodją, treść, duszę, nie biegło w pogoń za palcami, nie śledziło klawiszów i nót.

Pierwszy koncert towarzystwa muzycznego wypadł tak pod względem programu, jako też i wykonania dość dobrze. Wprawdzie gra p. O. po świetnych produkeyach księżnej Czartoryskiej nie powinna na teraz być wzięta w program, jednakże stało się i koncertantka odśpiewała utwór Mendelszona z wielką starannością. I dobre chęci coś znaczą. „Pieśń” i transkrypcja mazurka Chopina, układu dyrektora Mikulego, podobały się bardzo — a nawet śpiew p. Leopolda Miłaszewskiego przyjęto bardzo grzecznie. Również i dwa chóry, znane już z dawniejszych, świetniejszych czasów towarzystwa, zyskały przychylne przyjęcie. Szczytem koncertu była ósma symfonia Bethowena. Egzekucja wcale niezła, a orkiestrze teatralnej warto powinszować powodzenia.

Nowo założony chór męzki wystąpi wkrótce z koncertem. Życzyłby mu należało lepszego powodzenia, jak chórowi towarzystwa muzycznego, który tak długo organizowano i reorganizowano, aż zmalał do liczby członków kilkunastu.

Ze świata tonów krok jeden do teatru.

Trochę debiutów, trochę nowych sztuk, coś na kształt opery włosko-polsko-kroackiej, zapowiedź i sztuk nowych i nowych występów, oto, co nam ostatnie przyniosły czasy. Debiutowała panna Kossuth. Trudnoby coś teraz powiedzieć o jej talencie — zobaczymy. Pierwszy występ to rzecz arcy trudna, lecz z tego nie powinno się żadnych czynić wniosków. Przypominamy, że ongi, przed wielu, wielu laty, panna Kamińska, później znakomita pani Aszpergerowa, która do dziś dnia pracuje na naszej scenie, przy pierwszym występie rozplakała się na cały głos, a dziś — życzymy takiego arcyzmu każdej z młodych debiutantek.

Z sztuk nowych wymieniamy dwie oryginalne: „Grube ryby” Michała Bałuckiego i „Głodem wzięty” J. A. Fredry. Pierwszą sztukę grają i w Poznaniu, nie piszę więc o niej — druga oby nigdy nie ukazała się na naszej scenie, dla tego i o niej także lepiej nie piszę, bo nie warto.

Tu jeszcze wspomnieć należy o przedstawieniach amatorskich w miejskim kasynie. Dają je na cele dobroczynne. Ostatnie było na dochód uwolnionych więźniów. Zaopiekowanie się tymi, którzy po odbyciu kary więziennej wracają na łono społeczeństwa, ułatwienie im pierwszych kroków na drodze pracy uczciwej, oto cel zawiązującego się towarzystwa.

Cel godny pochwały, bo jeśli tylko trochę się powiedzie, to uratuje niejednego od powrotu na drogę występku — z konieczności, z biedy, z nędzy.

I literatura nie śpi. Prawda, że więcej mamy na półkach księgarskich wydawnictw warszawskich, ale i naszych się trochę znajduje. „Pieśni” Godziemby i „Pieśni” śpiewaków z nad Dniepru, tchną gorącym patriotyzmem i uczciwą tendencją. Forma, co prawda, nietęga. O powiastkach Zofii Rudnickiej już w poprzednim numerze czytałem. Ciekawym, a ważnym dla nas faktem jest najnowsze tłumaczenie „Lilli Wenedy” Słowackiego na język niemiecki przez profesora gimnazjum w Jarosławiu, Rischkę. To znowu krok jeden na drodze zapoznania Niemców z skarbnicami naszej literatury. Jeśli język tłumacza nie może dać pojęcia o tej bogatej, brylantowej formie Słowackiego, to bodaj myśl gwałtem wybija się swą oryginalną potęgą i jaśnieje blaskiem, bądź co bądź niezwykłym.

Bardzo czynną jest „Biblioteka Mrówki.” Niedawno wyszły „Pamiętniki Jana Chryzostoma Paski.” Zapowiedziane są Pamiętniki Kitowicza i Wybińskiego. Wydania te są niezmiernie tanie, nawet niepodobnaby jeszcze niższej podać ceny. Ostatni tomik tej biblioteki zawiera „Obrazy z Norwegii” Jana Finkelhausa. Pióro to nadzwyczaj utalentowane, możnaby rzec, jeden u nas dziś Pawiński jest więcej naukowy, głębszy. „Obrazy

z życia północno-wschodniej Afryki” wydane obecnie w Warszawie; okazują tego autora w całej pełni.

Literatura peryodyczna starym idzie torem, nowego nie. Z przyjemnością muszę wskazać zanotować krótką wzmiankę, jaką poświęcił Dziennik Polski „Dwu tygodnikowi dla Kobiet.” Wyrazy pełne uznania i pochwały dały tutajszym czytelnikom poznać kierunek i wartość Dwutygodnika.

Z.

o nafcie, przemyśle naftowym

o wosku ziemnym.

Skreślił

Adolf Jabłoński.

Cicho i spokojnie siedziałem przy maszynie, zamyślony, jakby to ukończyć szczęśliwie dziesiątą setkę stóp otworu w głębi ziemi, skąd spodziewałem się otrzymać nową ilość złotodajnego płynu, zwanego językiem uczonych olejem skalnym, a przez nasz poczciwy lud ropą, kiedy dają mi znać, że jakiś powóz przybył do kopalni. — Powóz? tu?... ha! to zapewne ktoś obcy, myślę sobie, złudzony niezłą drożną, zabłądził, albo też ci biedni chorzy z Iwonicza, co szukają zdrowia po górach i lasach.

— Proszę pana, jakaś pani przyjechała i prosi, mówi zadyszany robotnik — ale duchem prosi.

Powóz! pani! co to znaczy? — co to za zjawisko? ale nie czas było debatować nad takim fenomenem — z dawnych, lepszych czasów wzbudziły się wspomnienia, kiedy to szelest jedwabnej sukni elektryzował cały organizm, kiedy dotknięcie białej, delikatnej rączki sprawiało niewymowną rozkosz. Pod wrażeniem tych wspomnień zapomnawszy, że to dawno i bezpowrotnie minęło, odżyłem jakoś i już swobodniejszy stanąłem w progę.

Przed lustrem przybyła dama poprawiała fryzurę, na stole leżał elegancki kapelusik, dalej parasolka i różne, nieodzownie potrzebne przedmioty damskie do podróży.

— Ależ grzeczny z pana gospodarz, panie Adolfie, zmęczyłam się po tych wertepach i jeszcze godzinę czekać muszę, ażeby zobaczyć żywą, do ludzi podobną istotę, bo przecież tych czarnych smoluchów prędzej za widma, czy murzynów wziąć można. — No — czegoż pan stoisz, toćże się przywitaj! czy mnie nie poznajesz? czy straszniej wyglądam od twych robotników?

— Jakto! pani tu? w tych górach? w lesie?

— Ależ ja, ja we własnej osobie. —

Raz jeszcze przetarłem oczy, czy to nie sen: przede mną stoi mieszkanka stolicy — u której po ciężkich dniach pierwsze, jaśniejsze zabłyśły mi chwile. — Po serdecznym przywitaniu: Jakież tu losy panią sprowadzają? zapytałem.

— Choćby też chęć widzenia pana.

— Mnie? ach! jakże to miło usłyszeć z ust pani coś podobnego — alem ja przywykł do prawdy, mówmy na seryo!

— Ani myślę żartować — przyjechałam umyślnie, aby zobaczyć, co też z panem zrobiły te lat dwanaście, przepełnione w lesie, przekonać się...

— Czy to prawda, że kiedyś byli anachoreci i pustelnicy, co rozstawszy się jakoś z młodością, szli w dzikie pustynie rozmyślać o znikomościach tego świata i karmić się korzonkami roślin — jeżeli o to chodziło, masz pani dowód, że to jest możliwe. Pomimo tego pojąć nie mogę, jak można porzucić Drezno, Poznań, ażeby szukać wrażeń wśród lasów i po złych drogach.

— Pamiętasz pan, ile to razy, zwiedzając Szwajcaryą saską i podziwiając wspaniałe widoki, mówiliśmy z west-

chnieniem: To nie nasze Tatry! to nie nasze Karpaty! Otóż postanowiłam raz zrealizować te tak pobożne życzenia i porzuciwszy miasto, zapoznać się z naszymi górami, z tutajszą okolicą; jakiś czas przepędzę w Iwoniczu, a podreparowawszy zdrowie, puszcę się dalej w góry. Będąc zaś już raz w Iwoniczu, jak nie korzystać ze sposobności odwiedzenia czarnoksiężnika, co rozsiadłszy się tu w górach ze swymi murzynami i maszynami, wydobywa z łona ziemi tak cenny płyn; jak nie poznać bliżej tych cudów natury, co, jak troskliwa matka, na dobrą i złą dolę chowa skarby, by w danej chwili przyjść z pomocą.

— A! więc to Iwoniczowi zawdzięczam to szczęście, że panią tu widzę — pomimo tego oceniam dobroć pani, żeś wspomniała o pustelniku. — Czarnoksiężnik staje się najniższym sługą i wezwawszy wszystkich podwładnych duchów, gotów jest pokazać swoje królestwo.

— Z przyjemnością będę korzystała z uprzejmości gospodarza, to też nie tracmy chwili, tak pragnę poznać ten świat nieznan. Ale nie dosyć na tem, że mi pan pokażesz i wytłumaczysz wszystko — muszę to mieć na piśmie, zechciejże mi pokazać od początku do końca, a następnie opisać.

— Ale na cóżby się to pani przydało, któżby to czytał? pani z pewnością nie, bo znać będziesz przedmiot; w Poznańskim, o ile wiem, nie ma podobnych zakładów — więc w jakim celu?

— Zaczynasz marudzić, jak uważam; w jakim celu? po co ta ciekawość? chcę mieć, — czy nie dosyć tego?

— Za pozwoleniem pani! — jestem, jak wiadomo wszystkim, co mnie znają, systematycznym, a w ciągu tych dwunastoletnich rekolekcyi systematyczność moja jeszcze się spotęgowała. Dajesz mi pani zagadkę i chcesz, bym nie rozwiązawszy jej, szedł dalej? to już nad siły — systematyczności ucierpiała. —

— A więc zgoda — abyś odzyskał swobodę myślenia, żeby systematyczność nie ucierpiała, powiem panu, że przyjechałam nie tylko po to, aby widzieć pana, kopalnię, bo to byłoby egoizmem, ale głównie, żeby mieć zupełny, szczegółowy opis kopalni i całego przemysłu naftowego, celem pomieszczenia tego w wychodzącym od roku w Poznaniu „Dwutygodniku beletrystycznym i naukowym dla kobiet“. Cóż? jasno teraz?

— A jasno, jasno! najprzód Karpaty, Tatry, Iwonicz, nareszcie moja osoba, kopalnia, w końcu artykuł do Dwutygodnika — to się też nazywa iść prostą drogą! — Dawno pani studiujesz dyplomacyę?

— Nie nudź... bo

— Dwutygodnik naukowy i beletrystyczny dla kobiet... czy tak pani mówiła?

— Tak jest.

— Hm... nafta i kobiety... daremnie... to się w żaden sposób nie da, na nic...

— Dla czego?

— Bo dużo zapalności... mogłaby być eksplozja i Dwutygodnik, umieściwszy taki artykuł, straciłby może połowę swych prenumeratorów, o które wydawca bardzo dbać powinien, nie mówię tu o finansowości, ale o zwichnięciu celu, jaki sobie założył.

— Mylisz się pan, były to stare przesady, że kobiety nie mogą interesować rzeczy poważniejsze, dziś nietylko w Poznańskim, ale wszędzie kobiety starają się być na równi umysłowo z wami, jeżeli więc chcecie okazać się szlachetnymi, to dopomagajcież nam na tej drodze.

— Jestem pokonany — przekonany i pobity, więc niech się dzieje wola pani — artykuł będzie — ale, ale, jeszcze jedno słowo. W czasie pobytu mego w Stanach Zjednoczonych byłem świadkiem objawienia się pierwszego równouprawnienia kobiet, czyli, jak tam mówiono, emancypacji kobiet, czy wiesz pani od czego tam zaczęła płeć piękna równouprawnienie?

— No — od uczęszczania do szkół publicznych.

— Nie pani, kobiety tam od niepamiętnych czasów kończyły najwyższe zakłady naukowe.

— To może od zajmowania urzędów w służbie publicznej.

— I to już dawno było wprowadzone.

— A więc od czegoż?

— Oto masami zapełniały winiarnie, cukiernie i t. p. przybytki — ale zamiast używać napojów, śpiewały psalmy, czytały biblię — a szanowni małżonkowie, spostrzegłszy zbliżające się najdroższe serc swoich, ulatnił się. Szykarz, nie mając zarobku na psalmach, zamykał swój zakład — i równouprawnienie było dotykane, bo płeć brzydka była tak przytomną, jak płeć piękna. Czyby tego sposobu nie za...

— Ach! co to? z armat strzelają?

— Nie pani, to dynamitem rozstrzelają kamień.

A więc służę. Pozwolisz pani, że zaczniemy od miejsca, w którym, twórcą tego przemysłu pierwszy uderzył szpadlem, ażeby myśli, której poświęcił lata mozolnej pracy i dochodzenia, nadać kształt, ciało zamienić w czyn.

— O! znam tego człowieka z pism, wszak to Ignacy Łukasiewicz, przypominam sobie, że przed trzema, zdaje się, laty, obchodzono dwudziestą piątą rocznicę jego zasług — a kraj w uznaniu ofiarował mu medal złoty. Jakaż to rzewna musiała być chwila! jakże to piękny widok! człowieka, co doczekał uznania swej pracy i społeczeństwa, co umiało ocenić tę pracę.

— O, tak jest Pani, pamięć tej chwili zostanie świeżą każdemu, kto uczestniczył aktowi.

— Gdybyśmy częściej umieli się wznieść tak wysoko i oddawali hołd rzeczywistym zasługom, a mieli dosyć odwagi piętnować to, co jest zbrodnią w obliczu kraju, przejdźmy się otrząsnęli z niedoli, jaka nas uciska! —

— Otóż jesteśmy na miejscu — Widzisz pani ten rów, na cztery stopy głęboki, a na czterysta długi, to pierwszy wąty, nikły promyczek, co z czasem zmienić się miał na jasny słup świetlany, chętnie witany tak w najpiękniejszych gmachach, jak i w ubogiej lepiance górala.

Rów ten zarosły trawą, to praocięć tych szybów, któreśmy minęli, to pierwsze ziarno rzucone, co z czasem stało się źródłem dobrobytu całej okolicy. Wykopany rów powoli napełniał się wodą, a z wierzchu zbierano olej; w ciągu dnia uzbierało się kilka, lub kilkanaście garncy tego płynu.

— Proszę mi powiedzieć, skąd p. Ł. przyszedł pierwotnie do podobnej myśli, w ogóle, skąd powziął ideę o przemysle naftowym?

— Około 1852 r. profesor geologii, Zeischner, przybywszy z Warszawy do Galicji, urządził z uczniami uniwersytetu wycieczkę naukową; pomiędzy wielu innymi kwestjami zapytał otaczających, czy nie słyszeli o jakiejś tłuści ziemnej, mającej wydobywać się u podnóża Karpat — o czem wyczytał w starych kronikach czeskich, a nawet była tam wzmianka, że pewien przedsiębiorca oświetlania miasta oddany był sądom i skazany na grzywny za dolewanie jakiegoś płynu do oleju, zwyczajnie używanego do oświetlania. Na razie nikt z obecnych nie umiał na to odpowiedzieć, ale myśl rzucona utkwiała w pamięci p. Ł. zaczął więc śledzić, badać i doszedł, że w Borysławiu, położonym 360 m. 33 nad powierzchnią morza, nad rzeką Tysmienicą, 10 kilometrów na południowy zachód od Drohobycza — zbierano już od niepamiętnych czasów wypływający z ziemi olej w małych, w kształcie kotła na 1 metr głębokich dołkach, zwanych „Duczki“ albo też wydobywający się olej z szutru sprowadzano do tych dołków. Płyn ten w stanie surowym zanoszono na targ do Drohobycza, gesty pod nazwą ropa, jako maź do smarowania wozów, rzadki zaś, pod nazwą kipiączka, jako smarowidło na skóry. Zarobkiem tym trudnili się biedniejsi mieszkańcy okoliczni.

Następnie opowiadano, że jeszcze w r. 1818 sługa salinowy ze Stebnika, około Drohobycza, Franciszek Schneider, starał się destilować ropę, rozsełał nawet próbki, lecz te czy to w skutek złej roboty, przy destylacji, czy przy oczyszczaniu, nie znalazły do niczego zastosowania.

Nareczcie głębokie szyby na 100 sążni w Borysławiu.

wiu i Pieczyniżynie w Kołomyjskiem, je-
szcze z zeszłych stuleci, o których nawet podanie zaginęło,
w jakim celu kopane były, naprowadzały i zachęcały p. Ł.
do coraz gorliwszego poszukiwania w tym kierunku.

— Nareszcie pewnego dnia zjawia się Izraelita u p. Ł.
przynosząc jakiś płyn czerwony w butelce do sprzedania.

— Cóż to ma być? zapytuje p. Ł.

— Albo ja wiem, co to być może — pan uczony, niech
pan pozna.

— A skądże to wzięłeś?

— Ja tego nigdzie nie wziął, to ja sam zrobiłem.

— Jakże? robiłeś i nie wiesz co?

— No — tak, zrobiłem a nie wiem, co to jest —
a było to tak: Pan wie, bo mi mówili, co pan za tem chodzi
że w górach chłopci zbierają tłustość z ziemi i nazywają
ją ropą; tłustość ta, jak świeża, to jest rzadka i dobra do
skór, ale do smarowania wozów to trzeba ją potrzymać
na słońcu, aż zgęstnieje. Otóż jeden gospodarz, żeby zy-
skać na czasie, zamiast trzymać ropę na słońcu, aż zwie-
trzeje, gotował ją w kociołku, jak ona trochę wygotowała
się, a ostygła, była zaraz gęstsza i dobra. Chłop ten
umarł, żona wdowa nie umiała i nie chciała tem się trud-
nić — kupiłem od niej i sekret i kociołek. Kiedy za-
cząłem gotować, zapalił się płyn, trudno było ugasić, dobrze
tylko, że to było w lesie. W parę dni znów się zapaliło,
tak ja pomyślałem sobie, kiedy to takie palące się, jak
okowita, to może da się odpędzić na okowitę — no —
i kupiłem kociołek mały i przepędziłem. — ale nie wy-
szła okowita, tylko coś innego. Może pan pozna, co to
jest, może pan kupi.

W butelkach okazał się surowy destilat oleju skalne-
go, a po lepszym oddestilowaniu i dokładnem oczyszczeniu
był tem samem, co w medycynie znanem jest pod nazwi-
skiem *Oleum petrae*, *petroleum*, lecz do-
tąd z bardzo małym zastosowaniem.

Oleum petrae, olej skalny, był już znany w
starożytności, używano go do balsamowania ciał; z jego
pomocą także utrzymywano ogień wieczny na ofiarę w świą-
tyniach, poświęconych bóstwu.

Uzbierawszy tu p. Ł., kilka beczek ropy, przystąpił
do destylacji i otrzymał czysty, bezbarwny płyn palny. Cho-
dziło tylko o zastosowanie go do jakiegoś użytku, a mia-
nowicie do palenia, ale tu stanęły nowe przeszkody. Lampy,
używane do oświetlenia olejem zwyczajnym, okazały się
nieodpowiedniami, trzeba je było przerabiać, poprawiać.
regulować, nim zdołano doprowadzić do stanu odpowied-
niego celowi. Nareszcie już i lampy gotowe wydają jasny,
czysty płomień, powoli używanie nafty zaczyna się rozsze-
rzać, kiedy znów nieumiejętne obchodzenie się z lampami
lub z naftą sprawia eksplozje oparzenia, pożary, a stąd
obawy i przesady tamują postęp; jednakże nie zabijają
przemysłu, bo niskie ceny, stosunkowo do innych matery-
ałów, używanych do oświetlania, przemawiały za naftą.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika literacka, artystyczna i rzeczy bieżące.

— **Najnowsze powieści J. I. Kraszewskiego:** *Król
chłopów*, czasy Kazimierza Wielkiego, w czterech to-
mach — wyszło w Krakowie drukiem Wł. Anczyca i Sp.
1881. — *Ciche wody*, powieść współczesna w trzech
tomach, wyszła w Wilnie nakładem i drukiem J. Zawadz-
kiego 1881.

— **Drugi zeszyt „Galeryi współczesnych znakomitości,”**
wychodzącej w Warszawie przez Stawisława Leliwę, zawiera:
1 Maxymilian Henryk Müller, 2 Jan Lam, 3 Alexander Du-
mas syn, ich dzieła i utwory. Jest to rzeczywiście galerya
obrazków, pobieżnie, ale zajmująco nakreślonych; cały ze-
szyt obejmuje stron około 60.

— **Edward Jelinek**, Czech, piszący wiele do pism pol-

skich, wydał broszurę: „Idea słowiańska w Czechach. mia-
nowicie ze względu na panslawizm i rosyjskie sympatyje.”
Potrąca tu autor o ważną sprawę połączenia Czechów z Po-
lakami; całość bardzo zręcznie napisana.

— **Wyszła w Krakowie 1881** odbitka z Przeglądu pol-
skiego p. t. *Księga pamiętnicza majora Pta-
szyńskiego 1769—1793* przepisał dr Antoni J. — Mała
to książeczka, ale ciekawa, jako opisująca tyle ważne,
a smutne dla nas wspomnienia z lat, wyżej przytoczonych.

— **W Warszawie** ukazały się ponownie: *Nowe Mo-
dy Paryżkie*, redagowane przez panią M. Ratyńską;
od jakiegoś czasu wydawnictwo tego pisma było zawieszone,
teraz zaś redaktorka zapewnia, iż się ramy jego rozszerzą,
iż mu przybywa część literacka, której — o ile sądzić
możemy z numerów, jakieśmy widzieli — nie dostawało mu
przedtem.

— **Słynna a nikczemna** ramota Francoza p. t. „Halb-
asien,” w której nasze polskie społeczeństwo opisał jak
dzic prawdziwą, znalazła angielskiego tłumacza, Macdonalla,
ale krytyka angielska, stając w naszej obronie, zganiła
ostro taki wybór przekładu. — Inny paszkwiliści niemiecki,
Sacher Masoch, który, jak wiadomo, dosyć nas także naka-
sał i błotem naobrzuczał, a teraz w Lipsku wydaje czaso-
pismo: „Auf der Höhe, miał jeszcze tę śmiałość bezczelna,
że do współpracownictwa zaprosił i naszych polskich auto-
rów, a pomimo odprawy, jaka go wszędzie z góry spotkała,
w prospektach swoich utrzymuje, że zapewnienie pomocy
otrzymał. Wstrętne to kłamstwo oburzyło w wysokim
stopniu naszych zaczepionych, warszawskich mianowicie
literatów.

* * *

— **Obrazy Matejki.** 1. Zerwanie układów po-
kojowych pomiędzy Łokietkiem a mistrzem
krzyżackim. Jest tu bohaterski król polski w całym
majestacie monarchy i wojownika, na którego twarzy widać
oburzenie z powodu podłości krzyżaków, oraz wolę nieu-
gięty; — jest mistrz rudobrody, lekceważący i bezczelny —
jest drugi jeszcze krzyżak, godny uczeń swojego mistrza
— i wreszcie szlachetny rycerz polski, zdradzający gniew
i pogardę. Wszystko, odtworzone znakomicie, przenosi pa-
trzących w czasy dalekiej przeszłości. — 2. *Nieszcze-
śliwe załoty Olbrachta.* Widzimy tu Jana Al-
berta z nieodstępnym swym towarzyszem, Kallimachem, na
którego ramieniu młody królewicz opiera twarz zranioną,
w głębi uciekających trzech innych młodzieńców i ko-
bietę boso, w negliżu, która, jak widać, wybiegła co do-
piero z domu, wywołana powstałym przed oknami ha-
łasem. Dzieje się to na jednej z ulic Krakowa, wśród
nocy, gdyż królewicz pragnął pani swego serca wy-
prawić serenadę, ale znalazł rywalów, którzy, nie po-
znawszy go, dobyli nań miecza. Jest to obraz małych ro-
zmiarów, odznaczający się głównie znakomitą cieniowaniem
i dobrą perspektywą. — 3. *Scena z czasów rzeczy-
pospolitej Babińskiej:* na środku obrazu stół
obrad, na nim rozłożone akta, a przy nim różni dostoj-
nicy, jak: Piotr Firlej, kasztelan lubelski, Mikołaj Rej,
Stanisław Orzechowski i jego żona, Magdalena, Frycz Mo-
drzewski, Jan Łaski i inni. Jest i błazen Gaska, bujający
się na jabłoni, jest Jan Kochanowski, który po lewej stronie
obrazu gra w szachy z Marcinem Bielskim, a obok lutnista
Bekwark i Paprocki. Rzecz dzieje się w Babinie, w ogo-
rdzie pana Stanisława Pszonki i właśnie arcybiskup Dzier-
gowski odbiera podawane mu pióro, aby się w aktach rzeczy-
pospolitej zapisać. Po lewej stronie obrazu strzelają do
celu; jakaś część szlachty, co była zasnęła, budzi się teraz,
widać beczkę wina opodał, przypatrującego się jakiegoś
strzelca i wieśniaka; słowem, wszędzie tłumy osób, że od
razu trudno podobno wszystko pochwycić. Obraz to ogro-
mnych rozmiarów, w całości wiele życia, charakterystyczne
i wyraźne postaci, a koloryt świetny, jak zawsze.

* * *

— W Warszawie powstała myśl zawiązania Towarzystwa ogrodniczego; jak się zdaje, kielkowała ona już dawniej, ale dojrzała podczas ostatniej wystawy. Celem Towarzystwa będzie podniesienie ogrodnictwa krajowego, oraz ułatwienie wzajemnego porozumienia się ogrodników. Myśli tej przyklaskujemy z zapałem, nadmienając, że i nam przydałoby się podobne stowarzyszenie. Obudziłoby to chęć umiejętnego zajmowania się ogrodami, a za tem poszłaby niewątpliwa korzyść materyalna.

— **Donoszą nam**, że na wystawie sztuk pięknych w Brucksi znajduje się obraz, przedstawiający kwiaty, malowany przez p. Henau, który jest prawdziwie cudownym malarzem, bez rąk się bowiem urodził. Obraz ma być wykonany pięknie i podziwiany nie tylko ze względu na osobliwszego artystę, ale i dla swej rzeczywistej wartości.

TEATR.

Jeżeli o teatrze chcemy pisać, to niepodobna nam zaraz na wstępie nie dotknąć tego, jak mało publiczność nasza zwraca nań uwagi, jak mało troszczy się o niego. Od czasu powrotu artystów poznańskich z Warszawy bodaj trzy, czy cztery razy teatr był jako tako zapelniony, zwykle bowiem próżne łóża i próżniejsze jeszcze rzędy krzeseł na parterze grającym odbierają chęć i odwagę, a szczupłą garstkę słuchaczy przejmują smutnem przeświadczeniem o mało rozbudzonem pomiędzy nami poczuciu artystycznem i zamiłowaniu sztuki. Pesymiści gotowi zaraz po takim objawie posądzić całe tutajże społeczeństwo o obojętność i brak współdziału we wszelkim ruchu umysłowym i literackim. Wiemy, że ciężkie są czasy — i źleby było zapewne, gdybyśmy, kupując bilety na przedstawienia, ujmowali przez to najkonieczniejszym potrzebom życia, albo zaciągali gdzieś indziej długi i wspieraniem teatru przyspieszali własną, materyalną ruinę. O takich położeniach nie ma tu mowy — ale powiedzmy sobie prawdę, że gdyby niejedni z nas ujeli trochę wystawności i niekoniecznym potrzebom wydatkom, mogliby częściej uczęszczać do teatru i użyć prawdziwej, bo umysłowej przyjemności, większej, aniżeli stół wykwintny, lub strój bogaty, a im częściej chcieliby jej kosztować, tem lepiej nauczyłoby się oceniać ją i nad wiele innych przekładać.

Dyrekcya dokłada starań, aby publiczność zadowolić i przyciągnąć, mamy dobrych artystów, którzy rolę swych nie lekceważą i grają po większej części z zupełnem ich zrozumieniem. Pp. Linkowscy zwłaszcza, dalej panie: Otrembowa, Kałużyńska, która już w szeszoletnim sezonie umiała stopniowo pokonywać i wielkie trudności, a teraz okazuje tem więcej rutyny, w ruchach nabrała tyle potrzebnego jej dawniej spokoju, przytem gra naturalnie, z pewnością siebie, głos odpowiednio cieniuje i układa i dobrze się charakteryzuje, — panowie: Łucyan, Hierowski, Jejde, Skirmunt, zasługują na wyszczególnienie; z nowych zaś artystów: oboje pp. Królikowscy, którzy przy tamtych wcale nie tracą i bardzo będą scenie naszej przydatni. P. Cieślińska, jak sądzić można, także do zdolniejszych artystek winna być zaliczona. Nie mając się zatem na co skarżyć, okazujemy czynem uznanie, zadowolenie i poparcie. Tylko nasza ulubiona „Halka“ nie wypadła pomyślnie; nie mówimy o p. Schürer, której głos czysty i wdzięczny z przyjemnością bywa słuchany, ale całe przedstawienie było gorsze, niżeli dawniej. Jontek i chóry nie mogli nas zachwycać. Ze sztuk, dawanych dotąd, są — pomiędzy innemi — godne

polecenia trzy, utworu Leopolda Świdorskiego: Biedni, obraz ludowy, gdzie temat wprawdzie zużyty, ale tendencya moralna, a charaktery nakreślone z życiem i prawdą. Zarzucilibyśmy tylko niepotrzebne idealizowanie żyda. Dziwaczy, których główna zaleta leży w komizmie i: O własnej sile; jak tytuł wskazuje, jest tu poruszona jedna z kwestyi żywotnych, tak bardzo dzisiaj na czasie: wyrabianie sobie uczciwą pracą stanowiska. Dalej Poczwarka, dramat ludowy pani Birch-Pfeiffer, jedna z sztuk ładniejszych i wiele wszędzie mających powodzenia, a u nas dawno bardzo niewidziana. Są tu i sceny komiczne i na przemian rzewne, za serce chwytające obrazy, wiele uczucia i prostoty — wreszcie Wielki człowiek do małych interesów Fredry ojca. Koronkowa chusteczka, operetka w 3 aktach, pp. Borman i Genée, tłumaczenie Ł. Kościeleckiego z muzyką Straussa, grana w czwartek, prócz chórów zadowolili i zabawiła publiczność.

Na inny raz zostawiamy szczegółowsze rozbiory tak sztuk, jako i gry artystów.

Przepisy praktyczne.

Kapusta kiszona aby się nie psuła, dobrze jest przed ubiciem jej rozłożyć na dwie beczki warstwę pokrajanych w plasterki świeżych buraków, marchwi i nieco okrągłego grochu.

Ser, zwany gambrino, robi się bardzo łatwo, biorąc najmniej dwie kwarty dobrej, kwaśnej śmietany, którą leje się w grube całkiem płótno, soli mocno, wymiesza, następnie płótno dobrze zawiazuje i zakopuje w ziemię. W lecie, w ogóle gdy ciepło, wystarczy na 24 godzin, teraz ze trzy dni musi w ziemi poleżeć. Zakopać należy dosyć głęboko, przeszło pół łokcia, przysypać ziemią i przycisnąć kamieniem. Gdy po upływie potrzebnego czasu wykopie się i rozwinie płótno, znajdziemy w niem ser biały, miękki jak masło i bardzo smaczny, którego pojedyncze porcje w podługowatej formie owija się zwykle srebrnym papierem i tak podaje. Ser taki naśladuje zupełnie zagraniczny, panie w Królestwie fabrykują go często i sprzedają po miastach hotelom i sklepom. Może i u nas dałoby się to praktykować.

Suche konfitury. Gdy się świeże, lub stare konfitury zuckerą i podać ich nie można, najlepiej zużytkować je w inny sposób. Należy osączyć je dobrze z syropu, włożyć na blachę miedzianą, posypać utłuczonym grubo cukrem lodowatym i wstawić do bardzo letniego pieca, aby obeschły. Następnie układa się w pudełka i są gotowe suche konfitury; jedliśmy podobne i smakowały nam, jakby osmarzane, kijowskie owoce. Im większa konfitura, tem lepsza do obsuszenia, n. p. melon w wielkich kawałkach, morele, orzechy włoskie, rajske jabłuszka, lecz dobre są także wiśnie i agrest.

Rozwiązanie łamigłówki

w nr. 2-gim Dwutygodnika:

1. Rylejew — 2. Ulrici — 3. Boje — 4. Ilmen — 5. Noemi — 6. Salata — 7. Triglaw — 8. Efiates — 9. Izaak — 10. Nagasaki.

(Rubinsteln — Wieniawski).

Rozwijały dobrze panie: Wanda Wilkońska, Jadwiga Marcinkowska w Poznaniu, Janina Koehler w Kościanie. — panowie: Witold Grabski i K. Rzepecki w Poznaniu, K. Goneyn bez podania miejscowości.

Treść: Artykuł wstępny: Kiedy się ma rozpoezać wychowanie przez M. S...ą. — Marya Stuart w historii i w literaturze przez Zoryana (Ciąg dalszy.) — Listy z zagranicy J. I. Kraszewskiego. — Zaufanie. Powieść Henryka James. Przekład z angielskiego. (Ciąg d. nast.) — Korespondency Dwutygodnika: Zpoza kordonu — Lwów. — O nafcie, przemysle naftowym i o wosku ziemnym. Skreślił Adolf Jabłoński. (Ciąg dalszy nastąpi.) — Zapiski literackie, artystyczne, oraz rzeczy bieżące. — Tatr. — Przepisy praktyczne. Rozwiązanie łamigłówki z nr. 2 Dwutygodnika.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialna Teresa Radońska w Poznaniu. — Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Lebiński) w Poznaniu.